

15

Siedem Powiastek.

ZAWIERA:

1. Ufność wynagrodzona.
2. Tania kapusta i połec słońiny.
3. Uczeń Rubensa.
4. Gwiazdka biednej sieroty.
5. Jałmużna ubóstwa.
6. Miłosierny, nie na swoim miejscu.
7. Żydzi proszą Kazimierza Wielkiego o opiekę.

CHICAGO, ILLS.,
DRUKIEM I NAKŁADEM WŁ. DYNIEWICZA.
1893.



I 1.471.466



1996 K 1057/17

11.471.466

Ufność wynagrodzona.

Zdarzenie prawdziwe.

Pewnego wieczora letniego szedł młody człowiek odludnym traktem we Węgrzech. Był to rzemieślnik, który w najbliższym mieście otrzymać miał stałe zatrudnienie. Był to dzień skwarny i z radością powitał Jan — tak było na imię młodzieńcowi — mrok wieczorny, bo razem ze słońcem, które w purpurowej szacie zachodziło za górami, szarzejącemi z dala na widnokręgu, znikał także upał dzienny, który znużonemu wędrowcowi wielce dopiekał.

Droga spuszczała się teraz ku pięknej zielonej dolinie, w której w oddaleniu jednej ćwierci mili las roztaczał się gęsty. Na krańcu lasu mała stała kapliczka, ozdobiona wizerunkiem Ukrzyżowanego i innymi obrazami

Świętych. Na krzyżu zawieszony był świeży kwiatów wieniec, który pobożna ręka niedawno tam widać złożyła. Jan pomodlił się cokolwiek i szedł dalej. Gdy już daleko zaszedł w las, usłyszał gwar kilka głosów. Przystanął i spojrzał ku stronie, z kąd głosy się zbliżały. Ogarnęła go przytem pewna trwoga, której się nie mógł opędzić. Niezadługo też wyjaśniła się mu przyczyna tej trwogi, bo z po za krzaków wyskoczyło kilku dzikich zbrojnych ludzi i rzuciwszy się na bezbronnego młodzieńca, zawlekli go z sobą w las.

Jan poznał okropność swego położenia; wpadł on w ręce rabusiów. Podczas gdy go przez gęstwinę gwałtem uprowadzali, wołał Jan kilkakrotnie o pomoc, ale głos jego przebrzmiał daremnie, nikt z ludzi go nie słyszał, lecz sam tylko Bóg, przed którym nie utaić się nie może.

I w Bogu też Jan ufność swoją położył, jak to czynił od samej młodości, Jego woli się poddał w cichej modlitwie, przyjmując bez szemrania wszystko, cobykolwiek spotkać go mogło. Coraz gęstszym stawał się las i z trudnością tylko zdołali rabusie przezeń się przedrzeć.

Tymczasem zupełnie się ściemniło, a Jan nie zdołał już żadnego rozróżnić przedmiotu. Naraz jasna uderzyła go światłość. W pośrodku małej gołaźni wśród lasu, pod rozłożystym dębem, którego konary nad całą prawie rozstaczały się gołaźnią, wielki palił się ogień, około którego kilka leżało osób.

Na widok przybywających zerwali się na nogi i z dzikim krzykiem pobiegli im naprzeciw. Byli to także opryski, którzy się radowali z tego, że towarzysze ich pochwytili zdobycz.

Jana przyprowadzono przed herszta, który pozostał był przy ogniu. Herszt, silnie zbudowany mężczyzna z ognistym spojrzeniem i złowrogim wyrazem twarzy, podniósł się i zmierzył Jana zasępionym nie dobrego nie zapowiadającym wzrokiem.

Poznał też Jan zaraz, że od tego człowieka niczego dobrego spodziewać się nie może. Nie długo trwało, a odebrano mu wszystko, co miał, wszystek zaoszczędzony grosz, którego było niemało, poczem odezwał się herszt do Jana:

— Musisz umrzeć, abyś nas nie zdradził. Umarły nie gada.

Jan zbladł na te słowa, a trwoga ma-

lowała się na jego obliczu. Któżby w podobnym przypadku mógł być obojętnym. Po kilku minutach jednakże zapanował nad sobą i uspokoił się zupełnie. Nie zdradzając najmniejszej trwogi, patrzył spokojnie w oczy hersztowi, który zdziwiony zapytał:

— Albo mię nie rozumiałeś albo jesteś głuchym, bo nie rozumiem, jak możesz być tak spokojnym.

— Rozumiałem dobrze, — odrzekł Jan spokojnie, — słyszałem, że mam umrzeć. Chcecie popełnić wielką zbrodnię, chcecie mię zgładzić ze świata, abym nie mógł wystąpić jako wasz oskarżyciel. Ale ja się nie boję, — dodał podniesionym głosem, — możecie mi grozić, jak wam się podoba. Życie moje w ręku Boga i bez Jego woli nic mi się złego nie stanie. Jeżeli taka wola Boga, abym teraz zeszedł z tego świata, natenczas jej się poddam, a jeżeli Pan Bóg nie chce, abym umarł, natenczas pomimo waszych zamysłów nic mi złego nie będziecie mogli zrobić!

Na te słowa milczał opryszek przez chwilę i potem się odezwał:

— Czy to twoje wewnętrzne przekonanie, co powiedziałeś?

— Tak jest.

— I sądzisz, że nic ci złego zrobić nie mogę, jeżeli tego Pan Bóg nie chce?

— Nie inaczej.

— Wierzysz, że Bóg widzi wszystko i wszędzie się moc Jego rozciąga?

— Wierzę.

— A jeżeli cię pomimo tego zastrzelę?

— Mogę to tylko powtórzyć, co już powiedziałem: chyba taka wola Boża; bez niej włos mi z głowy nie spadnie.

Opryszek potrząsał głową. Nie zdarzyło mu się jeszcze widzieć człowieka, któryby [tak był spokojnym w obec grożącej mu śmierci. Pochwili namysłu podniósł fuzyą i mierząc do Jana, rzekł:

— A więc umieraj!

Spokojnie odpowiedział Jan:

— Niech się dzieje wola Boża. Gdyby Pan Bóg nie chciał, abym umarł, mógłby cię w tej chwili powalić o ziemię i nagłą ukarać śmiercią. Albo więc wypełnisz wolę Bożą, albo też dozuasz w swym zamiarze przeszkody, ale wbrew woli Boga mię nie zabijesz.

Opryszek opuścił broń — nie mógł strzelić. Niezachwiana ufność Jana rozbroiła go zupełnie i odebrała mu odwagę popełnienia

zbrodni. Długo wpatrywał się w Jana, potem rzekł:

— Więcej jak jednego człowieka życie mam na swoim sumieniu. Nie wiem, z kąd to pochodzi, że tobie nic złego zrobić nie mogę—nie mogę, chociaż chciałem doprawdy!

I stała się rzecz niesłychana: opryszek nie tylko bez przeszkody pozwolił mu iść dalej, puszczając go wolnego, ale nadto oddał mu wszystko, co mu był zabrał.

Dwadzieścia lat upłynęło od owego czasu, — Jan był dobrym i zamożnym rzemieślnikiem. Dzieciom swoim i wszystkim, którzy go znali, opowiadał często tę historią, że tylko niezachwianej swej ufności w Bogu zawdzięcza, że uszedł niechybnej śmierci.

Tania kapusta i poćec słoniny.

W miasteczku L..... był sobie golarz, pan Brzytewka, bardzo znany obywatel. Właściwie nie był on golarzem, ale raczej wszystkim innem: paniom przedstawiał się jako fryzjer, panom jako radzca piękności, a prostemu ludowi jak doktor, a miał do tego pewne prawa, wrywał zęby, puszczał krew, przystawiał bańki, leczył nawet na rozmaite choroby. Prócz tego na najrozmaitszych znał się sztukach; wypychał ptaki i inne zwierzęta, tresował ptaszki, grał na skrzypcach, basach i klarncie, i często wygrywał z muzykami wiejskimi na wesołach, jednym słowem: był to człowiek wszechstronny. Powodem do takiej wszechstronności jest zwykle interes: człowiek szuka wszelkimi sposobami jak najwięcej zebrać pieniędzy, dla tego korzysta z wszystkiego i zarabia, gdzie tylko się da. A

że do takiego usposobienia potrzebny spryt i dowcip wrodzony, to rzecz naturalna, bo gapa ani sobie rady nie da, ani też nie pozyska zaufania ludzi.

Wielkim jego przyjacielem był Bartłomiej Gamza z Małych Głupczyc, wsi oddalonej o milkę od miasta. Bartłomiej nie tylko od czasu do czasu regularnie krew sobie kazał puszczać, ale szczególniejszy miał nadto przypadek z zębem.

Było to pod jesień, gdy przyszedł do pana Brzytewki z okrutnie spruchniałym zębem trzonowym, który mu nieznośny ból sprawiał, prosząc, aby mu go wyciągnął. Pan doktor posadził Bartka na krzesło, wziął instrument do ręki, a że przez całą noc poprzednio wygrywał na weselu i jeszcze cokolwiek mu w głowie szmerło, więc się omylił, i zamiast spruchniałego, wyrwał sąsiedni ząb zdrowy. Bartkowi z bólu jasność niebieska stanęła przed oczami, i można sobie wyobrazić, jak serdecznie zaklął, gdy się przekonał, że zdrowy ząb wyrwany, a chory tkwi mocno w szczęce. Tymczasem pan Brzytewka nie stracił fantazyi.

— Ależ mój Bartłomieju, — powiada mu, — wy się na tem nie znacie. Musiałem ko-

niecznie temu spróchniałemu kielcowi zrobić miejsce, bo ma okrutnie długie korzenie, inaczejbym go wcale nie mógł wyciągnąć. Przekonacie się sami.

Podczas gdy Bartek krew wypluwał, szepnął pospiesznie coś uczniowi na ucho i zabrał się do zęba spruchniałego. Uczeń wziął długą śpilkę i stanął za krzesłem, a gdy pan Brzytewka przysadził po raz drugi, a Bartek, któremu się zdawało, że cała głowa rozsadza się mu w kawałki, zaryknął jak niedźwiedź postrzelony, żgnął go uczeń w tej samej chwili śpilką tam, gdzie plecy się kończą, aż Bartek podskoczył wskutek podwójnego bólu.

— Oj prawda, panie doktor, — rzekł Bartek zapłakany, wyrzucając krew buchającą z ran w ustach — prawda, że musiał mieć okrutnie długie korzenie, kiedy mię aż tu na dole zabolalo!

Nieskończenie więc wdzięczny panu Brzytewce, zapłacił za dwa zęby, a pan Brzytewka zapytał, czyby mu nie mógł dostarczyć dziesięć mędli kapusty; przyrzekł mu je i przywiózł za tańszą nawet cenę.

Brzytewka miał kapustę, ale Bartek nie miał za nią zapłaty, bo pan doktor właśnie

nie był przy pieniądzach, ale obiecał wnet dług zapłacić, na co Bartek chętnie się zgodził.

Tymczasem upływały tygodnie, pan Brzytewka zapomniał zupełnie o kapuście, chociaż codziennie ją smacznie zajadał. Bartek też kilka razy był u pana doktora, ale ten gdy był w domu, tyle zawsze miał zajęcia, albo natychmiast musiał biedzić do niebezpiecznie chorego, że Bartek w żaden sposób nie miał czasu przypomnieć o należytości za kapustę, ani też tego uczynić nie śmiał.

Nadeszło lato, kapusta była zjedzona, a Bartek w coraz większej obawie o swoje pieniądze. Wybrał się więc do miasta, aby na seryo upomnieć się o swą należytość. Pan doktor nie miał właśnie żadnego zatrudnienia, bo stał przy oknie otwartem, gdy go Bartek spostrzegł. Uradowany, że w tak dogodną przychodzi porę, wszedł Bartek do izby, ale zadziwił się niemało, gdy ujrzał przerażoną twarz pana Brzytewki.

— Na Boga, Bartłomieju, co wam to? — zawołał tenże. — Jakże możecie z tak napuchłą głową chodzić tak nieostróżnie po dworze!

— Co? Ja mam napuchłą głowę? Prze-

cież ja nic nie czuję! — zawołał Bartek wystraszony.

— No, zobaczą sami, jeżeli nie wierzycie, — odrzekł Brzytewka, trzymając mu tuż przed twarzą powiększające zwierciadło.

Bartek spojrział i z przerażeniem ujrzał w okropny sposób powiększoną swą twarz.

— O la Boga! — zawołał, — ady ja mam głowę, jak wiertel!

— Żle z wami, Bartłomieju, — rzekł mu teraz pan doktor, — macie różą w najwyższym stopniu rozwiniętą. Musicie koniecznie całą głowę owiązać ciepłymi chustkami i natychmiast pojechać do domu.

Natychmiast zawinął się Brzytewka, wydobyl kilka wełnianych chustek, owinął nim całą głowę Bartka, że tylko kawałek nosa wystawał, dał mu jakieś niewinne lekarstwo, kazał cały tydzień leżeć w łóżku, pić rumianek i pocić się bez przestanku, bo inaczej będzie musiał umierać. Ostatecznie umieścił go na wozie, owinął kocami i derami, i odesłał do domu.

Można sobie wyobrazić, jak się Bartka żona przełękała, ujrawszy męża w takim stanie.

— Małgosiu — jęczał Bartek, — roz-

BIBLIOTEKA
BN
G

bierz mi łóżko i ugotuj rumianku — jestem niebezpiecznie chory, mam różą!

Zagrzebany w piernatach leżał Bartek cały tydzień, pocąc się jak mysz, bo śmierć grożąca zawsze mu stała na oczach. Potem wstał i ostróżnie począł zdejmować chustki, któremi przez tydzień wciąż był owinięty. Teraz zauważała Małgorzata, że puchlina już minęła, a i Bartek czuł się tak zdrowym, że w drugim tygodniu pojechać mógł do miasta.

Udał się wprost do pana Brzytwewki, który teraz sam rozpoczął o tem, że chce zapłacić, ale Bartek ani o tem słuchać nie chciał. Z wielkiej wdzięczności skwitował go z długu, nadto przywiózł mu jeszcze cały polec słoniny, a oddawając dery i chustki, zaręczał:

Tak, tak, panie doktor! Żeby nie pan doktor, nie byłbym już dziś przy życiu. Pan tylko wybawił mię od śmierci. Teraz, dzięki Bogu, czuję się zupełnie zdrowym i okrutny mam apetyt po tej chorobie.

Uczeń Rubensa.

— Ruys kochany Ruys! wołało kilkuna-
stu młodych ludzi, otoczywszy starca o dREW-
nianej nodze zajętego rozcieraniem farb w
przedpokoju jednego z najpiękniejszych do-
mów w Antwerpii, Ruys uczyń zadość na-
szej prośbie, otwórz nam pracownię Mistrza!

— Nic z tego trzpioty! nic z tego, za-
wołał starzec potrząsając przecząco głową,
nie! nie i jeszcze raz nie!

— Ależ dla czego dajesz się tak długo
prosić, poczciwy staruszk, rzekł jeden biorąc
Ruysa za rękę, czyż nas się boisz?

— Bać się! może ciebie mały Van-Dyku,
bać się! ja, odparł starzec prostując się. Ja
co służyłem na morzu, biłem Anglików i
Hiszpanów! miałbym się bać. Ot młokosy,
dodał ruszając ramionami. I usiadłszy, po-
czął napowrót rozcierać farby, mrużąc coś

niezrozumiale pod nosem.

— Admirale! zawołał Van-Dyk, wszak wiesz dobrze, że się uczymy malować, a kto się uczy musi mieć przed oczyma wzory. Nie bądź tak twardym jak skała podmorska i spuść flagę, to jest otwórz nam drzwi.

— Tobie otworzyłbym dobry chłopcze, bo jesteś poczciwym, i pracowitym uczniem, odrzekł służący nie poruszając się z miejsca. Pan Rubens cię chwali, ale tamci.... fu! fu! gdybym ich tylko wpuścił, przewracaliby wszystko do góry nogami w pracowni.

— My? rzekł jeden z zadziwieniem, my jesteśmy tak przykładni, tak spokojni.

— Jak opałka za wozem. Wszystko rozrzucacie, nic nie szanujecie. A kóżto wczoraj rozbił gipsową Wenus grecką, czy rzymską, hę? może ja? Nie wiedziałem, jak się tłumaczyć, co powiedzieć panu Rubensowi i powiedziałem, że to wiatr. Tfu na stare lata ja musiałem kłamać, aby was wydobyć z kłopotu. Wiatr?! odpowiedział mi; cały dzień upał był duszący, najłżejszego nawet zefirku nie było: Kręcisz stary! kręcisz..... Mój Boże.... To prawda, bo kręciły mi łyzy w oczach, on pewnie myśli, że to ja ją stłukłem..... ja, jego sługa. Wykierowaliście

mię na kłamecę i szkodnika.... Otoż wam nie otworzę... nie... naraz sztuka, póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie, dajcie mi pokój.

— O mój kochany Ruys.

— Zmiluj się dzielny marynarzu!

— Komodorze!!

— Admirale!!!

— Masz skrętkę wyborowego tytoniu za klucz.

— Weź moją ładną fajkę z piany morskiej za klucz.

I skacząc w koło starca wołali ogłuszającym krzykiem:

— Klucz! klucz! klucz!

— Nie! nie! nie! wołał Ruys, nie dam! nie dam klucza.

W tem jeden z uczniów spostrzegłszy koniec klucza który wyglądał z kieszeni, wyrwał go szybko i otworzył drzwi pracowni. Stało się to tak prędko, że Ruys słyszał jeszcze wołających: Klucza, kiedy połowa uczniów już tam wbiegła.

— Moi panowie, zawołał służyący, zaklinam was na wszystkie świętości nie zrobicie szkody. Wydarliście mi przemocą klucz i jeżeli wydarzy się jakie nieszczęście pamięć-

tajcie, że od wszystkiego umyвам ręce.

Lecz na nic się nie przydały wołania starca. Młódź wpadłszy do pracowni, stanęła jak skamieniała przed stalugami wpatrywając się z niemem zachwyceniem w zaczęty obraz, przedstawiający święte niewiasty modlące się u stóp krzyża.

Widząc to podziwienie młodych uczniów, Ruys przestał mówić, już nawet zmierzał ku drzwiom, gdy w tem jakaś myśl go wstrzymwała, po chwili wachania, zbliżył się do młodzieńca czarno-włosego, na którego twarzy malował się ogień młodości i geniuszu.

— Panie Van-Dyk, rzekł z cicha, tobie powierzam pracownię, miej oko na tych młodych szaleńców. Ty tylko jeden zdołasz ich powstrzymać od jakiego wybryku.

To rzekłszy odszedł.

Okna pracowni Rubensa wychodziły na najpiękniejszy plac Antwerpii.

Jasna, szeroka, obszerna, mogła wygodnie pomieścić kilkanaście osób, a uczniowie chętnie w niej gościli, nietylko dla korzystania z wzorów mistrza, ale także dla przyglądania się przechadzce najbogatszych mieszkańców miasta.

Przez chwilę zajęci arcydziełem, myśląc

tylko o sztuce, rozprawiali spokojnie o cudnym kolorycie, o piękności owej draperyi, o dziwnej harmonii i umiejętnem użyciu półtonów. Ale wnet żywość młodzieńcza wzięła górę. Jeden z uczniów spostrzegł w kącie piłkę, a pochwyciwszy ją zaczął wyrzucać w górę i łapać, kilkakrotnie udało mu się dobrze, ale raz nie zdołał jej uchwycić zręcznie, a piłka upadła na ziemię.

— Jakiś ty nie zgrabny! zawołał drugi, i chwytając ją rzucił w twarz Ryszardowi. Tamten odbiwszy raz ugodził nawzajem przeciwnika, wkrótce wmięszali się inni, a gra rozwinęła się na dobre. Zapominając o miejscu w którym byli, wesoła młodzież zaczęła gonić piłkę, potrącać się, śmiać, hałasować: na koniec jeden chcąc wydrzeć ją przeciwnikowi, popchnął go tak silnie, iż tamten straciwszy równowagę, uderzył w stalugi i strąciwszy obraz, padł na niego.

Okrzyk przerażenia wydarł się z piersi trzpiotów. Św. Magdalena ma rękę zatartą, a Najświętsza Panna policzek i podbródek zmazany. Cichość ponura zajęła miejsce krzykliwej wesołości. Postrach oniemiał uczniów.

— Cożeśmy uczynili? zawołał jeden patrząc z przestrachem na obraz.

— Jesteśmy zgubieni! powiedział Ryszard.

— Jutro mistrz wypędzi nas wszystkich ze szkoły.

— Ja sam tu się więcej niepokażę; rzekł drugi.

— I ja także, dodał Ryszard.

— Dokądże pójdziemy, zawołał Van-Dyk, gdzie znaleźć drugiego takiego nauczyciela jak Rubens? Nie, nie ma wyboru, a choćby się narazić na cały jego gniew, trzeba pozostać.

— Ależ on taki surowy, zawołał Diepenboke.

— Mnie samo jego spojrzenie dreszczem przejmuje, rzekł Ryszard.

— A głos jego krew mi w żyłach ścina, dodał smutnie Van-Dyk.

— Mój Boże! co robić, co robić? mówili wszyscy przerażeni.

— Postawić wszystko na swoim miejscu, powiedział Ryszard i odejść nic nie mówiąc.

— Nigdy! rzekł Van-Dyk; Rubens posądzi biednego Ruysa, wypędzi go może, a my będziemy mieli na sumieniu niedolę starca. To nie gips stłuczony, który można odkupić za pieniądze, to część arcydzieła zma-

zana, zatarta, a jakież inny pędzel, jak Rubensa, może odmalować to co Rubens malował?

— A więc cóż robić? wołał z rozpaczą Diepenboke.

— Poddać się karze na jaką zasłużyliśmy, odparł Van-Dyk.

— A gdyby można tę sztukę naprawić, miejsce uszkodzone odrestaurować.

— Czy nie ty Cohenie zrobisz to? rzekł mu sąsiad z pogardą. Dobra chęć nie zastąpi talentu. Jednakże myśl niezła, ale kto ją wykona, kto z nas jest najzdolniejszy?

— Kto najzdolniejszy? pytali patrząc wsszycy na siebie.

Lecz natychmiast prawie jakby natchnieni, chórem zawołali: Van-Dyk!

— Ja! rzekł Van-Dyk, przerażony zadaniem, jakie nań wkładali jego towarzysze.

— Tak ty! odpowiedzieli wszyscy, tyś najzdolniejszy; masz trzy godziny przed sobą; odwagi! ratuj nas przyjacielu.

Odurzony tem postanowieniem Van-Dyk, wziął drżącą ręką paletę, którą mu podali, usiadł przed obrazem, wybrał pędzle i gdy już miał dotknąć tak pięknego dzieła, wstrzymał się jeszcze.

— Co za zuchwalstwo! rzekł z okiem

zwróconem smutnie na przyjaciół zgromadzonych na około niego.

— Dalej, dalej Van-Dyku, mówili składając ręce, cała nasza nadzieja w tobie, ty jeden możesz naprawić szkodę, dalej więc!

Z sercem bijącym ze wzruszenia Van-Dyk uległ prośbie przyjaciół; zasiadł przy stalugach i ręką nieśmiałą ale wprawną wziął się do pracy. Im więcej obawiał się gniewu nauczyciela, tem więcej dokładał starań, aby mu wyrównać.

— Tylko trzy godziny, mówił i mam w nich oddać ten koloryt świeży i młody ciała, te farby świetne, ten pędzel tak czysty. Boże mój, wspieraj mnie.

Ręka Magdaleny już zrobiona, pochwały przyjaciół zachęcają go, posuwa się do policzka Najświętszej Panny, do podbródka; zmrok zapada, robota skończona, Van-Dyk wstaje obłany potem.

Żaden z uczniów nie zmrużył oka tej nocy.

Nazajutrz z bijącym sercem zgromadzili się w szkole mistrza.

Wejście Rubensa do szkoły przejęło ich nową trwogą, ale twarz mistrza była promieniejąca dobrym humorem.

— On nie wie jeszcze o niczem, szeptali

do siebie. I uspokoili się na chwilę.

Rubens chodził od stalug do stalug, zachęcając jednego, radząc drugiemu, czyniąc jakiś zarzut innemu.

Nagle zwrócił się do całej szkoły.

— Panowie, powiedział, chcę wam pokazać mój obraz który robię do kaplicy kardynalskiej, pójdźcie za mną.

Drząc od trwogi i ukrywając o ile możliwości wzruszenie, uczniowie udali się za mistrzem w cichości. Rubens przybywszy do pracowni, poszedł prosto do obrazu Magdaleny i wskazując palcem na robotę, którą, jak sądził, wykonał dnia poprzedniego, zawołał:

— To nie jest najgorsza z mych prac! Patrzajcie.

Lecz nagle zamikł, przystąpił blisko do obrazu, przeciera oczy i jeszcze patrzy.

Ta chwila była straszliwą. Śród uroczystego milczenia zdawało się, iż słyhać każde uderzenie serca biednej młodzi, a ani jedna kropla krwi nie byłaby popłynęła.

— Co to jest?! zawołał nagle Rubens, wpatrując się w obraz... nie! nie! to nie ja malowałem, kto to zrobił?! przez krew Chrystusa, kto to malował, krzyknął piorunującym głosem, zwracając się ku uczniom. Wi-

docznie obca ręka dotykała mego obrazu.

Młódź pobladła, a żaden nie śmiał ust otworzyć.

— Weszliście wczoraj do mej pracowni? rzekł tak żywo, że nie można było określić dokładnie, czy to gniew, czy niecierpliwość wzmagaly dźwięk jego głosu, spustoszyliście wszystko, zwyczajnie jak młodzi szaleńcy, i zdarzyło wam się nieszczęście... nieprawda?... No, mówcież! mówcież! krzyknął uderzając silnie nogą w podłogę. To płótno było zmazane i jeden z was naprawił szkodę? Odpowiadajcież.... kto! kto!! który z was dokonał dzieła; kto naprawił szkodę?... No, cóż, czyście oniemieli?! dodał mistrz patrząc kolejno na każdego ucznia.... Dla czego sprawca nie odzywa się..... czyż się boi?... żeby go nie łajal? Nie, nie, nietrwóż się próżno, prędzej cię ucałuję, bo ten co to zrobił będzie mistrzem, moim spadkobiercą w świątyni sztuki. On będzie mistrzem nas wszystkich, ja, ja, Rubens wam mówię, któryż to?

— Van-Dyk, zawołali wszyscy uczniowie usuwając się, aby zostawić wolne miejsce Van-Dykowi, który cofał się zarumieniony.

— Van-Dyk! powtórzył Rubens wyciągając rękę do młodego ucznia, powinienem był odgadnąć. Brawo, mój młody przyjacielu! Dziś jeszcze możesz mnie opuścić, bo ja cię już niczego nie mogę nauczyć... Jedź natychmiast do Włoch, mój chłopcze, badaj wielkich mistrzów w Rzymie, Florencyi, Wenecyi... Jedną ci tylko dam radę i ta będzie ostatnią... Są ludzie którzy sądzą, że portrety uwłaczają pędzlowi artysty. Wcale nie, mój chłopcze, portret dobrze zrobiony ma swoją wartość, a ta wartość będzie twoją. Ogłaszam cię odtąd królem portretowania... Głowa jest częścią, w której je-tes najdoskonalszym... Chłopcy moi, dodał Rubens, przebaczam wam szaleństwo, bo ono mi odkryło pośród was mistrza. To rzekłszy pochwycił Van-Dyka, przytulił do swojej piersi i gorącemi pocałunkami okrywał, a lzy gorące spłynęły na lica młodziana i pomięszały się z jego łzami.*)

*) Antoni Van-Dyk miał wtedy lat 17, urodził się bowiem 1599 r. Ojciec jego malarz na szkle, dał mu pierwsze początki rysunku, a potem go umieścił u Henryka Van-Palen. Ztąd poszedł do szkoły Rubensa. Po powyższem zdarzeniu, pojechał do Włoch, i tam wykonał dla mistrza trzy obrazy historyczne,

które mu ofiarował. Rubens ozdobił niemi salony swego mieszkania i pokazywał je jako najpiękniejsze dzieła ze swego zbioru.

Po powrocie do ojczyzny, zachwycił kraj cały wielkim obrazem, przedstawiającym zachwycenie świętego Augustyna. Dla kanoników z Courtrai, zrobił obraz Chrystusa rozpiętego na krzyżu. Ale kanonicy niewiele znający się na dziełach sztuki, jednogłośnie zganili arcydzieło. Van-Dyk zniechęcony tym sądem, udał się do Hagi, gdzie robił portrety księcia Oranii, całej jego rodziny, panów dworu, ambasadorów, najbogatszych kupców, a nawet obcych, którzy umyślnie przyjeżdżali, aby mieć portrety jego pędzla. To samo powodzenie miał w Anglii, gdzie był wezwany przez Karola I, wielkiego sztuk miłośnika.

Mimo takiego powodzenia, nie doszedł do majątku, gdyż żył dla drugih, a przytem niemało stracił na doświadczeniach alchemicznych. Umarł na suchoty roku 1641, mając lat 43. Muzeum w Luwrze posiada wiele obrazów, i znaczną liczbę portretów Van-Dyka. Inne rozrzucone są po całej Europie.

Gwiazdka biednej sieroty.

Opowiadanie Willijne.

Wicher huczy przeraźliwie i zmiata śnieg z ulic miasta B. unosząc go w gęstych tumanach ze sobą po nad dachy domów. Mróz przenikliwy ziębi aż do szpiku kości i spędza ludzi co rychlej z ulic do ciepłych pokoi, gdzie to dziś pełno radości i wesela. Dziś bowiem „gwiazdka“, przypominająca ludziom przyjście Boskiego dzieciątka na ten padół płaczu, które tu za grzechy ludzi chce cierpieć a nareszcie i umrzeć na krzyżu. Przez okna bije jasne światło, widać palące się choinki ozdobione tem wszystkim, co serca dziecka największą radością przejąć może. O, gwiazdko z nieba, jak cudną ty jesteś! —

„Kupujcie zabawki, kupujcie łaskawi państwo. Nikt nie kupi? O mój Boże, mój Boże!“ Tak wołał biedny jakiś chłopczyzna,

przebiegając z koszykiem na ręku ulice miasta, a słowa jego roznosił wicher z bolesnym jękiem na wszystkie strony. Dziecko to, liczące najwyżej lat dziesięć było bardzo nędznie ubrane: bóty podarte, że z nich palce się pokazywały, spodzienki cienkie jak pajęczyna, koszula razem z kaftanem dozwalały nagość ciała oglądać, głowę przykrywał stary dziurawy kapelusz, uszy zaś, by je przed zimnem uchronić, owiązał chusteczką. Trząsł się cały od zimna biedny sierota! Chcąc się zaś nieco rozgrzać, przysporzył kroku i biegł szybciej przez ulice, utykając często w zaspach śnieżnych. Od czasu do czasu wołał żałośnie: „Kupujcie załawki, kupujcie łaskawi państwo. Nikt nie kupi? O mój Boże, mój Boże!”

I łzy strumieniem spływały po wynędziałem obliczu chłopczyny. Och! dziś gwiazdka, dziś wszystko się cieszy, a on biedny nie ma ojca, nie ma matki, nie ma nikogo na całym świecie, coby jemu gwiazdkę sprawił, on u obcych, surowych ludzi, którzy go w domu swoim za zbyt ciężary uważają. Och, płakał biedny chłopczyna!

Ale nie w takich stósunkach przepędził nasz Maryś — tak się bowiem ów sierotka nazywał — pierwsze swe lata młodości.

Ojciec jego był zamożnym kupcem miasta B., któremu — jak to mówią — szczęście oknami i drzwiami w dom się pchało. Maryś, jedyne dziecko, był ulubieńcem i ojca i matki, i wszystko co tylko zapomyślał, to odbierał od kochających rodziców.

Ale powiadają, że szczęście jest zwodnicze!

Nastały liche czasy, ceny płodozmianów spadły, przemysł podupadł, handel szedł licho; z tej przyczyny rozpoczęły się bankructwo i konkursy: handle większe pociągały w tę otchłań za sobą mniejsze, tak tedy się też stało, że pewnego dnia kram rodziców Marysia został z powodu bankructwa zamknięty. Po upływie konkursu, z którego nie prawie dla rodziców naszego chłopczyka nie pozostało, nastaly smutniejsze czasy dla Marysia. Ojciec zresztą dobrego usposobienia człowiek, patrząc na tę ogromną ruinę, której on nie był przyczyną, martwił się bardzo, a chcąc się robaka pozbyć, zaczął używać nadmiernie trunków; tak się tedy też stało, że w niezadługim czasie należał do pierwszorzędných pijaków w mieście. Z tego powodu zachodziły bardzo niemiłe sceny w do-

mu: żona bowiem robiąc mu wymówki z jego niewłaściwego sposobu życia, wywoływała nieraz straszliwe burze, które w niczem sprawę nie naprawiły, ale owszem ją jeszcze bardziej pogorszyły. Bieda zaczęła się też oknami i drzwiami cisnąć do ich mieszkania. Biedna matka Marysia, wedle możności jej się opierała, lecz nareszcie pracą, zmartwieciem i głodem wycieńczona, zapadła w niebezpieczną chorobę, z której już nie wstała.

Nikt przy niej nie był, gdy umierała, tylko sam biedny Maryś, który głośno wołał: „Moja najdroższa mamó nieopuszczaj twego Marysia! Najukochańsza mamó moja nie umieraj!” Ze załzawionym wzrokiem patrzyła nieszczęśliwa matka na swojego ukochanego synka, potem spojrzała w niebo, oddech zaczął się jej w piersiach tamować i z głębokiem westchnieniem uleciała dusza jej przed tron Najwyższego....

Późno w noc przybył ojciec do domu i jak zwykle pijany, rzucił się na posłanie, nie zważając na płacze i lamenty Marysia. Dopiero nazajutrz rano, gdy się przebudził, ujrzał całą zgrozę swego nieszczęścia. Zapłakał nad żoną swoją, z którą to kilkanaście lat tak szczęśliwie przeżył; potem jednak

chcąc swą żalność przytłumić, poszedł w miasto, dawszy poprzednio Marysiowi śniadanie składające się z kawałka suchego chleba, i niebawem w kieliszku wódki wszelkie smutki i troski zatopił.

Po pogrzebie żony oddał ojciec Marysia do tokarza, robiącego rozmaite zabawki dla dzieci: chłopiec taki dobrze mu się przyda do roznoszenia jego wyrobów po mieście.

Tokarz ów był to człowiek bardzo surowy, i nie ludzki; uważał on w dom swój przyjętego chłopca za rzecz taką, którą się tak długo posługuje, dopóki pożyteczną, gdy zaś pożytku nie przynosi, pozbywa się jej czempredziej. Od samego rana do późnego wieczoru musiał teraz biedny Maryś z koszykiem na ręku po ulicach biegać i sprzedawać wyroby swego chlebobdawcy. A biada mu, gdy nie z towarów nie sprzedał! Wtedy nieludzki ten człowiek nie żałował chłosty, o jedzeniu zaś myśli nie było.

Pewnego dnia dowiedział się biedny Maryś, że ojciec jego nie żyje. Ten bowiem zalawszy zbytecznie głowę wódką, wracał chwiejąc się do swego nędznego pomieszkania; po drodze się potoczył, padł na ziemię i uderzył tak nieszczęśliwie o wystający ka-

mień, że się zabił na miejscu. Zapłakał na tę wieść biedny chłopczyzna, boć widział się teraz całkiem opuszczonym na świecie, — Bóg tylko jego ucieczką! — Ile to razy biedny sierota, leżąc w chlewie na barłogu płakał i narzekał na smutny swój los!

Dziś gwiazdka! Tokarz napełniwszy kosz zabawkami krzyknął na Marysia, żeby się czempędzej do miasta zabierał i wszystko rozsprzedał gdyż inaczej niech mu się na o czy niepokazuje. Chłopczyzna pochwycił kosz i zgłodniały wybiegł w tę straszliwą zamieć. Widział przez okna uszczęśliwionych swych rówienników, widział ich od radości promieniejące twarze, widział podarki, które gwiazdka przyniosła, a on? — och, on nie-szczęśliwy, on płacze, a łzy na obliczu jego marzną. Ale Pan Jezus i jemu gwiazdkę z nieba ześle. „Mój Boże, mój Boże“ czy nikt nie kupi? „Drodzy państwo kupujcie!”

Głes jego prawie zamierał na ustach. Przechodziło koło niego dużo ludzi otulonych we futra i ciepłe odzienie, ale ci wcale na sierotę nie zważali.... Biegł on dalej a dalej na ulicę, chcąc przez to na wpół skostniałe członki nieco rozgrzać.....

Powoli światła w oknach gasną, stróże

zwiastują już godziny, a Maryś jeszcze na ulicy — nic nie sprzedał. Czuje się bardzo strudzonym. Tam za murami tego kościoła szuka on schronienia, bo do domu wrócić nie ma poci....

Wicher ustał, niebo się wypogodziło i za-jaśniało milionami gwiazd, pomiędzy niemi pełną twarzą księżyc bladym swym światłem oblewa całunem żałoby pokrytą ziemię. Z oddali słyhać nadjeżdżający wóz z ciężarem, którego koła na zmarzłym śniegu wywołują daleko rozlegające się skrzypienie Mróz się wzmaga, Maryś usiadł w zaciszu pod murem kościoła i trzęsie się cały od zimna. Senność go napada. Ludzie zaczynają się schodzić na „Pasterkę”; nie dostrzegają oni biednego sieroty, który się pasuje ze śmiercią....

Zegary zwiastują północ; w kościele odzywają się organy: kapłan wyszedł ze mszą świętą. Maryś śni o gwiazdce: widzi on zapaloną choinkę przystrojoną w najcudniejsze rzeczy, których on jeszcze nigdy nie widział; przy drzewku stoi Najświętsza Paniienka z dzieciątkiem Jezus, tuż obok widzi też i matkę swoją, która ku niemu wyciąga ręce. Słyszy Aniołów śpiewających Bogu chwałę. „Mamo! idę, idę! do ciebie! Panie Jezu

niech znajdę gwiazdkę u ciebie, ho na ziemi u ludzi jej nie znalazłem!” —

„Gloria in excelsis Deo“, śpiewa kapłan przy ołtarzu a wierni śpiewają z pełnych piersi; „W żłobie leży, któż pobieży kolendować małemu“.

Na drugi dzień rano znaleziono Marysia skostniałego pod murem kościoła. Każdy się nad nim litował, lecz już za późno.

Jałmużna Ubóstwa.

W pewnej wsi zostawił zacny dziedzic fundusz dla najpilniejszej i najwzorowszej dzia-
twy szkolnej. Przed Bożem narodzeniem
wybierał miejscowy pleban najlepszych uczniów,
którzy pod kierownictwem nauczyciela w
święta przedstawiali w szkole sceny z historii
Bożego narodzenia, np. pasterzy betleem-
skich, trzech króli i t. p. Była to zabawa
niewinna dla całej wsi, a dla działwy odzna-
czenie, bodziec do pilności i cnoty, a ostate-
cznie jeszcze korzyść materyalna, bo owe wy-
brane chłopcy otrzymywały nowe ubranie i
dwa talary.

Razu pewnego wybrany został na pier-
wszem miejscu mały ośmioletni Józefek, syn
ubogiej wdowy. Malec nie posiadał się z
radości, mianowicie gdy patrzył na matkę,
która wraz z innemi kobietami była obecną

przy wyborze dzieci. Róża, tak było imię matce, także mocno była uradowaną i wychodząc ze szkoły, rzekła do plebana:

— Bóg zapłać, Księżu Dobrodzieju! Od śmierci męża jestto pierwsza radość, której doznałam. Mój Józefek okrutnie pracował, aby tę nagrodę otrzymać; chodziło mu też niemało o te dwa talary, za które naszą zakopconą izdebkę będziemy mogli cokolwiek odświeżyć, a ubranie też mu bardzo potrzebne.

Pleban uśmiechnął się z zadowoleniem; znał on biedne mieszkanie wdowy, bo często wszystkich swoich zwiedzał parafian.

— No, — odrzekł — jak sobie izdebkę odnowicie, to przyjdę ją obejrzeć. Nad Józefka łóżkiem zawieszę wtenczas obrazek Matki Boskiej.

Matka i syn poszli uradowani do domu. Naprzeciwko ich domu mieszkała poczciwa kobiecina, wdowa, która pracą rąk swych utrzymywała starą matkę i synka swego Franusia, rówiennika Józefa. Stara matka chorowała już od kilka tygodni, a wdowa nie mogła, jak dotychczas, chodzić do roboty. Nie mogła więc zapłacić komornego i miała się koniecznie wyprowadzić; ale jakże tu

wśród zimy chorą staruszkę wynosić? Biedna kobieta siedziała w kąciku swej izdebki i płakała, gdy Róża uradowana weszła ze swoim chłopcem, zapytała sąsiadkę, dla czego płacze i przez długi czas naradzała się z nią, cóż tu począć, ale nie było drogi wyjścia. W przeciągu ośmiu dni musiało komorne chociaż w części być zapłacone, albo też z chałupki trzeba się było wynosić — innej rady nie było.

Róża poszła zasmucona do domu, bo niedola sąsiadki kamieniem ciążyła jej na sercu, a bolało ją to, że nie mogła dopomódz, bo sama była ubogą. W nocy nawet spać nie mogła, tylko myślała, jak tu poradzić. Nagle dobra przychodzi jej myśl: wszakże Józef odbierze dwa talary! Gdyby sąsiadka miała te pieniądze, byłaby rzecz załatwiona, bo mogłaby zapłacić część komornego, a z resztą by właściciel zaczekał, tymczasem zaś mogłaby też wdowa coś zarobić. Ale sąsiadka nie przyjęłaby tych pieniędzy od niej, ubogiej jak ona — lecz i na to jest rada. Trzeba poprosić księdza proboszcza, aby Franusia zamiast Józefka wziął do przedstawienia, a może to zrobić, bo Franus też dobry chłopiec, tak samo jak Józefek, któremu ko-

rona z głowy nie spadnie, jeżeli jeszcze dłużej w łatanej chodzić będzie sukmanie; z odnowieniem izdebki też nie taki gwałt — wszakże ona wygodniejsza i daleko lepsza, jak stajenka, w której się nasz Zbawiciel narodził!

Uszczęśliwiona tym pomysłem usnęła wreszcie Róża. Nazajutrz z rana rzekła do chłopca:

— Pewnie bardzo się cieszysz, że cię nasz dobrodziej wybrał? Ale co ty powiesz na to, że nasza sąsiadka chora i że ją chcą z chałupy wyrzucić, bo nie może komornego zapłacić?

Józefkowi łzy zakręciły się w oczach.

— A gdybyś to mógł zrobić, aby ich nie wyrzucono z domu, czybyś to uczynił?

— Ach, jakże chętniebym to uczynił! Ale ja nie mogę!

— Możesz, dziecko kochane, możesz; potrzebujemy tylko poprosić księdza proboszcza, aby zamiast ciebie wybrał Franusia, a te dwa talary mogłyby ich uratować.

Józefek namyślił się przez chwilkę, potem rzekł:

— Idźcie, matko, do księdza proboszcza, i proście go o to. Ja tak się będę uczył,

że nagroda na drugi rok mię nie minie.

Róża poszła do plebana i opowiedziała mu wszystko.

— Ale moja kobieto, — odezwał się tenże, — te dwa talary i wamby się bardzo przydały!

Tak jest, księżę dobrodzieju, ale w zakopconej izbie można jeszcze mieszkać i w starej odzieży pójść do kościoła, lecz chora nie może się wśród ostrej zimy wyprowadzać i wkwaterować na ulicę! Mogłabym ja dać sąsiadce te dwa talary, ale ta by ich nie przyjęła.

— Dobrze więc, stanie się, jak chcecie, a Pan Bóg wam i synowi waszemu pobłogosławi.

To prawdziwa miłość bliźniego, — rzekł do siebie pleban po odejściu wdowy, — i tę najczęściej znaleźć można pomiędzy ubóstwem. Mój Boże! Jakże piękną w oczach Twoich musi być ta ofiara! Wszakże Zbawiciel sam powiedział o groszu wdowy, że ta więcej dała, jak wszyscy inni, bo ci dali ze zbytniego, ona zaś z tego, co jej tak było potrzebnę!

Nie potrzebuję dodawać, że Józef i matka jego nie pozostali bez nagrody i nie ucierpieli na swej ofiarności; o to już pleban umiał się postarać.

Miłosierny, nie na swoim miejscu.

Było to w poście przed kilka laty. W jednym z większych miast południowych Niemiec czekało przed domem poczty kilku podróżnych, pomiędzy nimi i Franciszkanin bosy, który prócz ubogiego ubrania, różańca i biletu na podróż, nic nie posiadał, tylko czyste sumienie i dobry humor, dwa — co prawda — nieocenione skarby, na których jednakże bardzo mało ludzie się znają. Niedługo nadjechał wóz pocztowy, podróżni zajęli miejsce i każdy usiadł sobie jak mógł najwygodniej. Wśród podróży wszczęła się ożywiona rozmowa, którą Franciszkanin mianowicie zajmującym ożywiało opowiadaniem. Niedaleko zakonnika siedział otyły jegomość, w futro otulony, który z razu nie brał udziału w rozmowie, może dla tego, że mu nie odpowiadała, albo też, że chciał milcze-

niem pokazać swą wyższość; patrzył tylko bezustannie na zakonnika i mierzył go od stóp do głów. Widocznie nie podobał mu się mnich i nieprzyjemnie mu było, że tak blisko niego musiał siedzieć. Bo też wielka była różnica pomiędzy obydwojma, nietylko co do objętości ciała, ale i co do jego pielęgnowania. Opasły światowiec a zbiedzony zakonnik, futrzane obuwie jednego, a bose nogi drugiego, złote pierścionki na palcach jednego a drewniany różaniec na ręku drugiego — taka była różnica od góry do dołu, i jak się pokazało, co do wewnętrznego usposobienia, bo podczas gdy zakonnik w przyjazny i miły sposób rozmawiał, pograżał się drugi w głębokim milczeniu i taką kwaśną i mrukliwą miał minę, jak gdyby mu ropucha siedziała na wątrobie. Długo jednakże nie mógł tłumić w sobie uczucie, jakie nim miotaly. Patrząc z wstrętem na bose nogi zakonnika, zauważył, że to hańba dla ludzkości, iż w takim czasie wolno ludziom chodzić boso, i że coś podobnego nie powinno być prawnie cierpiane. A zatem był tego zdania, że co się jemu nie podoba, to przemocą powinno być usunięte ze społeczeństwa — powszechne to zdanie w postępowym świecie.

Na tę uwagę grubego jegomości zamilkli wszyscy, widocznie nie byli przygotowani na taką mądrość. Jeden tylko, na pozór prostaczek, siedzący naprzeciwko otyłego, poprawił się na siedzeniu, potem trącił palcem grubasa w grube kolano i rzekł: „To nie wszystko, mój panie, że ten mnich chodzi boso: ale on dziś z rana nie jeszcze nie miał w ustach, a jeżeli mu w podróży kto z liłości nie kupi obiadu, to znowu nic nie zje, bo pieniędzy nie ma. A jednak patrz pan, jaki wesoły, daleko weselszy od pana! To najlepszym dowodem, że nie chce mieć lepiej, a dla czego, to już on wie najlepiej. Ale patrz pan tu wskazał przez okno na zwirówkę — na te biedne dzieci na drodze. Te może już jadły nędzne śniadanie, ale z pewnością je to boli, że po tej grudzie chodzić muszą boso, na coby pewnie się nie zgodziły, gdyby miały obuwie. Tego zakonika pan nie nawrócisz, bo on dobrowolnie raz na zawsze odrzekł się obuwia, aby inni biedni ludzie sami boso nie chodzili. Ale skoro jesteście tak bardzo miłosierni i nie chcecie tego, aby ktoś chodził boso, natenczas rozpocznijcie od tych biednych dzieci i sprawcie im o-

bu wie, a one to z wdzięcznością przyjmą, i ani prawo ani policya nie będzie potrzebowała je zmuszać, aby boso nie chodziły.“ Towarzysze podróży przygryzali usta, aby nie wybuchnąć śmiechem nad klęską postępowego jegomości, który milczał zaambarasowany i rad był, gdy na pierwszej stacyi mógł pocztę opuścić.

Żydzi proszą Kazimierza Wielkiego o opiekę.

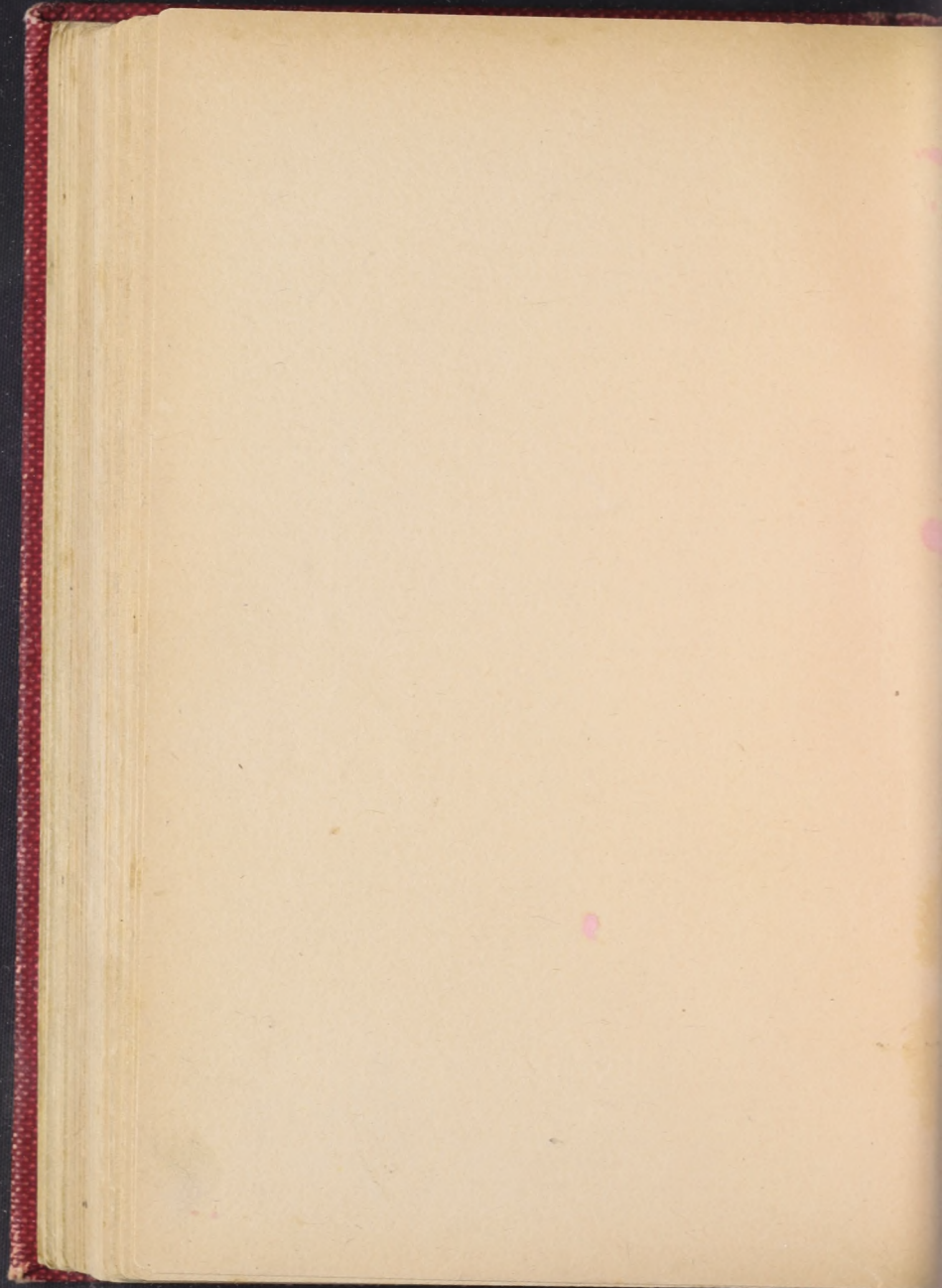
Ogólne teraz podnoszą się skargi na Żydów, którzy z bogaciwszy się w Europie, są dziś nietylko panami giełdy i finansów, ale opanowali prasę i kierują opinią publiczną, wdarli się do zarządu miast, a nawet w rządach państw wpływ wywierają niemały; a tej przewagi swej używają na szkodę chrześcijaństwa. Dziś się budzą ludy, widzą, do czego doszła i poczynają wołać na gwałt, gdy już im woda za kolnierz łać zaczyna. Że Żydzi tak wytrwale dążyli do opanowania i gnębienia chrześcijaństwa, dziwić im się nie można. Nie rządzą się zasadami chrześcijańskimi, a więc obca im jest miłość nieprzyjaciół i darowanie uraz. Przez wieki całe byli gnębieni w Europie, nie mieli praw obywatelskich, uważano ich za wyrzutków społeczeństwa i nieraz odmawiano im wszel-

kich praw ludzkości, unikano ich jak zapowietrzonych i poniewierano ich w sposób najniegodniejszy. To też nie dziw, że doszedłszy do majątku i wpływu, oddawają teraz według swych zasad moralności wet za wet. Niestuszną jednakże jest nienawiść ich względem Kościoła, który pomimo to, że oni byli pierwszymi prześladowcami chrześcian, bronił ich zawsze, ile zdołał, w obec możnych panów i sfanatyzowanego ludu — nienawiść ich dla Kościoła nie polega na odwecie ale jest to dalszy ciąg nienawiści ku Zbawicielowi. Drugą plamą ich charakteru jest niewdzięczność ich względem Polski. Podczas gdy w innych państwach Europy żywcem ich palili, zabraniano im pobytu w miastach, a gdy którego na najdrobniejszym przestępstwie schwycono, brano na tortury, zabierano majątek cały — u nas w Polsce znaleźli przytułek i miejsce schronienia. Osobliwie król Kazimierz Wielki szczególnie się nimi opiekował. Na ich prośbę, pozwolił im zamieszkać w Polsce i trudnić się handlem, nie pozwolił wyrządzać im krzywdy i dał im przedmieście Krakowa Kaźmierz na miejsce osiedlenia się. To też dziś jeszcze przedmieście i miasto całe, jako też inne miasta pol-

skie podobniejsze są raczej do miast w Palestynie, tyle tam Żydów. Na ulicach roją się jak pszczoły, a na Kaźmierzu to ich tyle, że aż ciemno. A za swobody i przywileje, jakich doznawali u nas, w jedynym kraju całej Europy, wywdzięczyli się w ten sposób, że wyssali krew z chłopków i szlachty, i do dziś dnia są włościan i rzemieślników polskich ruiną, a w walce z nieprzyjaciółmi Polski stawali po stronie wrogów. Prawda, byli niektórzy szlachetni, którzy nawet na placu bitwy w szeregach polskich stanęli, są i dziś jeszcze zacni Żydzi, którzy ciałem i duszą są oddani, ale takich mało — ogół przymila się do możniejszych, a tymi są nieprzyjaciele Polski, którzy mają potęgę i pieniądze. Niesłuszną jest rzeczą gardzić Żydem, lub go poniewierać, bo i Żyd człowiek i ma wedle zakonu Bożego prawo do naszej miłości, ale Polak, który takie smutne na Żydach zrobił doświadczenie, powinien mieć się przed nimi na baczności.

KONIEC.





Ant. Nauk
Dobry 28.06.36
10.00

